



Biblioteczka Podróżna

KLEMENS JUNOSZA

Z PAMIĘTNIKÓW
ROZ NOSICIELA

WILKI

385

WYDAWNICTWO M. ARCTA
W WARSZAWIE

<http://rcin.org.pl>

KSIAŻKI DLA WSZYSTKICH

Klemens Junosza

Z PAMIĘTNIKÓW

ROZNOSICIELA



INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

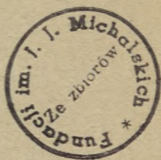
WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1908

<http://rcin.org.pl>

1-



<http://rcin.org.pl> 5505

Nazywam się Józef Kowalkiewicz, urodziłem się w Wielkim Księstwie Poznańskim, ojciec mój był ekonomem w folwarku.

Pamiętam go jak dziś: był to wysoki, przystojny mężczyzna, miał niebieskie oczy i wąsy jasne, jak len świeżo czesany... Matka moja była ładna kobieta, tak mi się zdaje przynajmniej, a jak czasem pogłaskała mnie po głowie i spojrzała na mnie dużemi, czarnemi oczami, to takie coś przyjemne, takie słodkie w tych oczach zaświeciło, żem się do niej tulił i przymilał—i rad byłem całe życie tak przy niej przesiedzieć...

Działo nam się dobrze, oj! i jak dobrze, opowiedzieć trudno... pamiętam, iak tarzałem się po dziedzińcu z psem

kudłatym, kaleczyłem ręce o kolczaste krzaki agrestu, rwałem słodkie maliny.

Żyło się lepiej, niż król! Czasem ojciec z miasta przywiózł obwarzanków, czasem matka dała chleba z miodem, a drzewa w ogrodzie aż się gięły od jablek czerwonych, jak krew.

Oj krew! aż się zimno robi, gdy o niej wspomnę!

W niedzielę jeździłem z ojcem i matką do kościoła, w nowym ubraniu, którego niewolno było rozedrzyć, ani splamić — matka zakazywała surowo, groziła, że zbije na kwaśne jabłko... ale choć zaplamiłem i podarłem, nie zbija nigdy... gdzież jej tam było do bicia!

Mój ojciec, choć niby był ekonomem, ale należał do wojska, bo u Niemców jest taki obyczaj, że co człowiek, to żołnierz; a jak go zawołają, to musi wszystko rzucać i iść — tak też i on biedak... Będzie temu lat kilkanaście, jak dostał kwitek z urzędu; żeby się stawił.

Poszedł biedaczysko.

Ubrali go w mundur z mosiężnymi guzikami... wsadzili skopek na głowę,

dali w rękę karabin i w gromadzie innych ludzi popędzili na kolej.

Pojechaliśmy i my, żeby go pożegnać... Matka okropnie płakała, a ja się uczepiłem jej spódnicy i tak w niebogłosy wrzeszczałem, że aż mnie szwab jakiś za ucho złapał i od wagonu precz odepchnął.

Żołnierze powsiadali, zaświstało, za-turkotało... i pociąg odszedł... My także powlekliśmy się do domu... Pytałem matki, dokąd ojciec pojechał?

— Dokąd?... Ja sama nie wiem — odpowiedziała, płacząc — dość, że pojechał... francuza bić.

— A za co go ojciec ma bić?

— Ot, głupi jesteś! — odpowiedziała z płaczem...

Zamyśliłem się... Do mojej małej głowiny napływały różne pytania, rozważałem słowa matki i nie mogłem ich zrozumieć. Głupi! alboż ja wiem, dlaczego? Czym dlatego głupi, że mój ojciec na wojnę poszedł? czy francuz taki głupi, że aż na niego do bicia od nas ludzie pędzą? Czy nasi ludzie zgłupieli, że się tak daleko bić idą? Nie mogłem

sobie tego w mojej dziecinnej głowie wymiarkować, ale tom zmiarkował i poznał, że od wyjazdu ojca wszystko u nas w domu jak gdyby zgłupiało.

Matka chodziła smutna, słowa z niej trudno było wydobyć, parobcy nie śpiewali jak dawniej, trawniki wyłysiały przed dworem, ogród zczerniał. jabłka z drzew pospadały, a nawet mój pies kudłaty posmutniał...

Nieraz, kiedy chciałem go objąć za szyję, albo pobiegać, pogonić się z nim po dziedzińcu, to warknął ze złością, albo machnął niechętnie ogonem, jak gdyby i on także chciał powiedzieć:

— Głupi jesteś...

Mogłem chodzić, gdzie mi się podobało, nikt mi nie bronił, a matka niewiele mogła widzieć przez łązy. Poszedłem więc na łąkę, co się niedaleko za folwarkiem rozciągała; ale i tam było smutno, jak wszędzie. Łąka poszarzała, kwiatków nie było na niej, ani motyli. Poszedłem do lasu, a tam jeszcze smutniej i przykrzej... gałązki nagie uderzały o siebie, gdy je wiatr trącał, pożółkłe liście walały się pod drzewami.

Smutno było wszędzie, i jasne słońko nie świeciło jak zwykle, po niebie wlokły się ciężkie chmury szare... Ani ptaszków śpiewających, ani motyli, ani kwiatków—tylko brzydka wrona usiadła wysoko na drzewie, patrzyła na mnie i krakała:

— Głupi! głupi jesteś!...

Uciekałem do domu, a gdy noc nadeszła i wszyscy spać się pokładli, to matka tak wzdychała i jęczała ciężko, żem się tylko do ściany przytulał i oczy zamykał z trwogi...

Oj! bo dziwnie straszno słuchać było tych jęków i westchnień. Wszystko, com kiedy słyszał od starej piastunki, przypomniało się wówczas. Duchy, upiory, wilkołaki, zaklęte królewne przesuwwały się przede mną, jak jaka procesja. Zamykałem oczy, przykrywałem głowę, i gorąco prosiłem Boga, żeby prędzej dał dzień, żeby te duchy i widziadła, uląkszy się słońca, uciekły.

Pewnego dnia przyjechał ojciec do domu. Źle mówię, nie przyjechał, ale przywieźli go na wozie, jak kłodę drzewa, albo jak worek ze zbożem...

Zdjęli go chłopci z fury; blady był, jak kreda, pod pachą trzymał wielki kij, na którym się opierał, a jedna jego noga była owinięta w gałgany... Ledwie ją dźwigał biedak, taka była gruba i bezwładna.

Smutne było przywitanie. Zrobił się lament w domu, matka płakała okropnie, i jam także płakał; obcy nawet ludzie, parobcy i fonałe, którzy zbiegli się, aby ojca powitać, mieli oczy lez pełne, a niejeden na cały głos szlochał.

Dziedzic ze dworu dowiedziawszy się, że ojca przywieźli, przybiegł szybko, bez czapki nawet, choć chłodno było na dworze...

Ojca zaraz rozebrali i położyli do łóżka, dziedzic siadł przy nim i rozmawiać zaczął, a ja, korzystając z tego, że w owym zmartwieniu nikt na mnie uwagi nie zwracał, wsunąłem się pocichu w kąt za łóżko — i słyszałem wszystko, co ojciec bardzo słabym głosem dziedzicowi opowiadał.

Z tego opowiadania dowiedziałem się, że była jakaś wielka wojna, w której ludzi zabijano i rżnięto jak barany...

kule tak latały w powietrzu jak pszczoły, kiedy się letnią porą na robotę rozsypią, a jak która z nich ukąsiła, to na śmierć, i nie było pogo żądła z rany wyjmować.

— Naszym starszyzna kazała bić francuzów, a francuzom znów naszych, to też wzięli się za bary i tłukli.

Opowiadał ojciec, że nasi byli mocniejsi i że tamtych podobno pobili, ale on już tego nie widział, bo mu kula przewierciła nogę, krwi z niej dużo uszło i omdlał...

Podobno długo tak leżał nieborak na mokrym polu między trupami, omdlały, nieprzytomny, aż przyszli niemcy, na drągi go wzięli—i zanieśli do namiotu, w którym doktorzy w fartuchach okrwawionych rznąli ludziom nogi i ręce, jak w szlachtuzie...

Ojcu doktor wsadził w ranę drut długi, wiercił w niej, macał i szukał kuli... okropnie to bolało, aż ojciec zębami zgrzytał z bólu.

Później obwiązali mu nogi i odwieźli go na kolej... Pełne wagony były takich kalek; aż mrowie przechodziło po skórze, jak ojciec opowiadał, ile tam

było jęku, płaczu i lamentu. Niejeden żołnierz zmarł w wagonie... Ojca z innymi razem przywieźli do szpitala, tam coś ze dwa tygodnie przeleżał; ale do domu było mu bardzo tęskno, chciał nas koniecznie zobaczyć, więc też prosił, molestował doktora, żeby go ze szpitala wypisał... Doktor słuchać nawet nie chciał; mówił, że się rana odnowi, że źle będzie, że jakaś gangrena się wda... ale jak ojciec zaczął prosić, przedstawiać, że ma żonę i dziecko, które chciałby już może ostatni raz w tym życiu zobaczyć, tak poczciwy niemiecko zmiłował się i rzekł:

— To idźże, bydlę, zdychać na wsi w chałupie, kiedy nie chcesz tego zrobić w porządnym, skarbowym szpitalu.

Podziękował ojciec doktorowi za dobre słowo i zawłókł się do kancelarji; tam dali mu świadectwo i długi kij do noszenia pod pachą, i zapowiedzieli, żeby się nie pieścił jak baba, tylko zaraz, jak się rana zagoi, żeby wracał i znów szedł bić francuzów.

Taką mieli złość do nich.

Długo jeszcze dziedzic siedział przy

ojcu, długo rozmawiali ze sobą, ale ja już tej rozmowy nie słyszałem. Zmęczony, przerażony wszystkim, co się stało, kucnąłem w kącie i zasnąłem. Dobrze już pod wieczór obudziła mnie matka, która zaniepokojona moją nieobecnością, szukała mnie po całym mieszkaniu, aż nareszcie znalazła w mojej kryjówce. W nocy nie mogłem spać, blada twarz ojca stała mi ciągle przed oczami... Przez kilka dni było u nas smutno, bardzo smutno! ojciec leżał na łóżku jak martwy, matka zapłakana chodziła z kąta w kąt, dziedzic przesiadywał przy nim po kilka godzin. Sprowadzili doktora z sąsiedniego miasta, ten obejrzał nogę ojca, pokiwał głową i poprosił dziedzica, żeby z nim wyszedł, gdyż chce mu coś powiedzieć. Wyszli do ogrodu, a ja, czając się pod płotami i krzakami, pośpieszałem za nimi. Coś mi szeptało, że nas jakieś nie-szczęście czeka; bałem się tego doktora, i chciałem usłyszeć, co powie.

Nic dobrego nie powiedział. Dziedzic zapytywał go, czy niema żadnego ratunku, on odpowiadał niechętnie; wy-

miarkowałem z tego, że chcą ojcu nogę urznąć — ale że i to niewiele pomoże... Nie mogłem dłużej wytrzymać; z płaczem pobiegłem do matki i, czepiając się jej spódnicy, wołałem:

— Matusiu! Matusiu! nie dajmy, żeby ojcu nogę urzynali!

Ale co pomógł płacz dziecka! Na drugi dzień przyjechało trzech doktorów, przyszykowali sobie noże, poubierali się w fartuchy i zamknęli w tym pokoju, gdzie ojciec leżał...

Nie wpuścili ani mnie, ani matki; dziecko zaś nie mógł patrzeć na krew i poszedł do dworu...

Robota ich krótko trwała; nie wiedziałem, że tak można prędko zrobić człowieka kaleką... Potym panowie ci odjechali, a myśmy z matką weszli do ojca.

Nie jęczał on, nie narzekał, leżał spokojny, blady, uśmiechał się nawet do matki i mówił, że go nic nie bolało — bo spał. Uśpili go doktorzy. Mnie głaskał po głowie, matkę pocieszał, że choć kaleka — ale, jak wyzdrowieje, da sobie radę na świecie. Potym przvszedł

dziedzic, przyniósł ojcu wina i opowiadał, że teraz są na świecie takie nogi drewniane na spężynach, co same chodzą jak żywe — i obiecywał, że ojcu niezawodnie taką kupi.

Nie kupił jednak, choć chciał szczerze, choć tak bardzo lubił mego ojca...

Zdaje mi się, że coś przez dwa dni było trochę raźniej i spokojniej w domu. Matka co wieczór modliła się gogąco i mnie kazała Boga prosić o zdrowie dla ojca; miała jakąś nadzieję. Ale trzeciego dnia zrobiło się gorzej — posłali zaraz po doktora. Doktor przyjechał i powiedział matce, że wszystko przepadło... Coś złego przyplątało się, ojciec stracił przytomność. Posłali po księdza, a w nocy matka przybiegła do mnie, zaczęła mnie całować i, płacząc okropnie, powtarzała tylko:

— Oj, sieroto moja, sieroto!

Choć byłem mały, wiedziałem, co znaczy sierota, i zmiarkowałem, że już nie mam ojca.

Na trzeci dzień potym byliśmy w kościele — ojciec leżał na katafalku, w czarnej trumnie; matka płakała strasznie,

a ja ukląłem przed ołtarzem i spoglądałem na obraz, na którym wymalowany był jakiś święty z długą, białą brodą.

Idąc za trumną ojca do kościoła, pytałem ludzi, dlaczego ojciec mój umarł? dlaczego urznęli mu nogę? dlaczego kazali mu iść na wojnę i bić ludzi, których w życiu swym nigdy nie widział, ale nie odpowiedzieli na moje pytanie, nie wytłumaczyli mi, nie rozwiązali, a może nie chcieli rozwiązać tej zagadki...

Każdy z nich spojrzał tylko na mnie z politowaniem i odrzekł, machnąwszy ręką:

— Głupi jesteś, mój mały.

Tylko, kiedy, klęcząc w kościele przed ołtarzem, wpatrzyłem się w obraz, to zdawało mi się, że ów poważny święty z białą brodą spojrzał na mnie litośnie i szepnął:

— Biedny jesteś!...

Biedny! naprawdę biedny byłem od tej pory.

Pochowawszy ojca, wróciliśmy do domu, ale nie mieszkaliśmy już tam długo. Matka wyjeżdżała często do miasta, to znowu do nas różni ludzie przy-

chodzili i przyjeżdżali; targowali się, kupując biedny nasz dobytek.—Konik poszedł do ludzi, krówki także i wszystko, co było w domu: sprzęty, nawet ubranie po ojcu. Podobno, jak matka mówiła, że i dziedzic dał trochę pieniędzy, i tak, jedno z drugim, złożył się jakiś grosik. Ludzie radzili, żeby matka gdzie do blizkiego miasta się przeniosła i założyła sklepik; to znowuż trafił się porządny jeden ogrodnik, co się chciał z matką żenić, ale ona ani nawet słuchać nie chciała, — powiedziała, że już nigdy zamąż nie pójdzie. I dotrzymała słowa.—W tamtych stronach nie chciała też pozostawać, — zanadto przykro jej było,—umyśliła więc wyjechać daleko, aż do Warszawy, gdyż tam miała siostrę starszą za mężem, majstrem ślusarskim. Mówiła też matka do ludzi, że ma nadzieję, przy pomocy szwagra, mnie wykierować na ludzi.—Wykierowałem się też rzeczywiście...

Pożegnaliśmy stare kąty i dobrych ludzi, a chociaż dziedzic jeszcze perswadował, żeby nie wyjeżdżać, żeby

swoich stron się trzymać, jednak nic to nie pomogło, i po dwóch dniach już byliśmy w Warszawie.

Jak żyję na świecie, nie widziałem tak wielkiego miasta. Wszystkie domy, jak kościoły, a kościoły, to już jak nie wiem co, takie wspaniałe i duże. Nie mogło mi się w głowie zmieścić, jak tu człowiek do człowieka trafi w takim lesie, gdzie tyle ulic i uliczek! Chciałem coś mówić do matki, ale taki był turkot wozów, powozów i dorożek, że ani ja matki, ani matka mnie nie mogła dosłyszeć.

Zajechaliśmy do ciotki. — Mieszkali na Chłodnej ulicy, w suterenie; wchodziło się do nich, jak do piwnicy po schodach, a nade drzwiami wymalowany był wielki klucz zębaty. Ciotka przywitała nas płaczem, serdecznie, a wujaszek skrzywił się, jakby szklanekę octu przełknął. — Dopiero jak mama zaczęła opowiadać, że ma trochę pieniędzy, że chciałyby je gdzie w jakie dobre ręce oddać, tak włożył zaraz czapkę i poszedł na ulicę. Niezadługo powrócił i przyniósł słodkiej wódki, bułek,

serdelków, piwa, kazał chłopcu samowar nastawić i tak mamę częstował, tak jej nadskakiwał, jakby jakiego wielkiego gościa w swoim domu przyjmował. Rozglądałem się po kątach. W pierwszej stancji, w której siedzieliśmy, w jednym kącie stał komin z miechem, przy oknie warsztat o kilku szrubstakach, pilniki wisiały na ścianie, a przy kominie stało kowadło. W kącie, na worku, słomą wypchanym, spał mały chłopak, czarny i zasmolony, jak kominiarz, a taki wychudły, że aż żal było patrzeć na niego.

W drugiej stancji, trochę mniejszej, było daleko ładniej i czyszej: stały tam białe usłane łóżka, duża szafa żółta, stolik, komoda. Tam, w tym drugim pokoju nocowaliśmy z mamą.

Wujaszкови było na imię Antoni, majster z niego był niezły; ale mu się jakoś nie szykowało. Dowiedziałem się później, że wujaszek lubił się zabałamuścić, a przez to i robotę opuszczał; ale jakśmy przyjechali z mamą, tak na drugi dzień, zaraz skoro świt, wdział na siebie skórzany fartuch, obudził małego smo-

lucha, i jak zaczęli oba młotkami stukać, a pilnikami zgrzytać, to aż w uszach piszczowało... Mama z ciotką ubrały się i wyszły na miasto do kościoła, i mnie także z sobą zabrały. Byliśmy w kościele, chodzili po różnych ulicach, mama z ciotką rozmawiały, a ja gapiłem się i rozglądałem, bo było na co patrzeć!

W niedzielę w warsztacie było cicho, wujaszek ubrał się w czysty surdut, i nawet mały smoluch umył się i był do człowieka podobny. Zacząłem z nim rozmawiać; pytałem go, czy ma ojca, matkę i skąd jest? — ale on wcale nie wiedział, skąd się wziął na świecie... Tyle tylko pamiętał, że jak był jeszcze mniejszy, to go bił szewc, a potem, jak od szewca uciekł, bije go ślusarz... Dałem mu sześć groszy, żeby sobie kupił kilka bułek, ale on widać nie lubił dużo jeść, bo zamiast bułek kupił papierosów i palił je na ulicy... Ten chłopak nazywał się Jasiek

Po obiedzie, korzystając ze święta, wuj, ciotka i moja mama zasiedli do narady, co robić? Mama powiedziała ile ma pieniędzy, wuj głową kręcił, to to, to

owo podsuwał, ale zaraz wszystko ganił...

— Ot — mówił, — żebym to ja miał parę groszy, tobym wziął większe mieszkanie, kupiłbym tokarnię, bormaszynę, przyjął ze dwóch czeladników, toby robota poszła, jak po mydle, mielibyśmy jeść i pić po uszy, a i tego bębna,—mówił, pokazując na mnie, — na majstra bym porządnego wykierował, bo czegoż lepszego będzie szukał na świecie? Przecie pani siostra wie, że my bezdzietni, to, jak pomrzemy, któż weźmie warsztat i cały dorobek?... Jużci nie kto, tylko Józiek — i jak będzie w robocie pilny, a statkowny, to mu niczego nie zabraknie na świecie. Dziś, proszę pani siostry, niema nic pewniejszego na świecie, jak rzemiosło, a najbardziej nasze ślusarskie; bez zamków świat nie będzie, a czy w Warszawie, czy na drugim końcu świata, zawsze ślusarz potrzebny.

Mama pomyślała trochę, pomyślała i powiada tak:

— Ha, kiedy tak mówisz, panie szwagrze, to dobrze, tylko to sobie wymawiam, żeby Józio choć ze trzy lata do

jakiej szkółki pochodził... Pieniądzy szwagrowi dam, ale niech szwagier pamięta, że to sierocy grosz, niech nie utraci i odda rzetelnie...

— A moja pani siostro! Bogabym chyba nie miał w sercu! Toć siostra dobrodziejstwo mi robi, ratuje mnie tym groszem; ja będę mógł większe roboty brać, czeladź trzymać, a teraz, przy tylu domach, co budują, można gieltować! Zresztą przecież ja od pani siostry tak tylko na gębę pieniędzy nie wezmę, dam kwitek, czarne na białym, jako oddam rzetelnie z procentem co do grosza, i jako temu chłopcu będę opiekunem.

— Niech szwagier na pieniądze kwitek da, a opiekuństwo tymczasem, póki ja żyję, to niepotrzebne. Cóż ja już mam robić na tym świecie? tylko mi to jedno dziecko zostało.

Tak się tedy ułożyli wuj z matką, matka pieniądze dała, ale nie wszystkie, schowała trochę na wszelki wypadek...

Przenieśliśmy się do nowego porządnego mieszkania i ja zacząłem chodzić do szkoły. Dobrze mi tam było, bardzo byłem ciekawy do książki i lubiłem się

uczyć; nikt mi nie bronił, owszem, matka pochwaliła jeszcze, i sama dała na kajety.

Tak przeszło blisko trzy lata. Wujaszek, chociaż nie nadszakiwał tak matce, jak przedtem, ale jeszcze był dość grzeczny, bo matka miała jeszcze trochę pieniędzy, a po drugie, że ciotka chorowała ciągle — podobno na suchoty — i nieraz całymi dniami w łóżku leżała. Więc też moja mama musiała wszystkiego dożyć, w mieszkaniu posprzątać, na targ chodzić z koszem, gotować dla nas i dla czeladzi.

Nie musiało jednak mamie być bardzo dobrze na świecie, gdyż nieraz ciężko wzdychała w nocy, a jak się pytałem dlaczego? co jej tak dolega? to mi odpowiadała ani tak, ani owak...

— Idź spać, moje dziecko, — mówiła, — albo do książki się weź; co ci tam w to wchodzić? Jeszcze mały jesteś, a jak dorośniesz, to się dosyć biedy nagryziesz.

Odchodziłem smutny i płakałem w kącie, ale jak poszedłem do szkoły, tom

znowuż o całym bożym świecie zapomniał.

W same święta wielkanocne, ciotka, która coraz była słabszą, umarła.

Było w domu dość płaczu i lamentu, a wuj matkę moją ciągle po rękach całował i bardzo był dla niej grzeczny. Ma się rozumieć, za tę grzeczność matka dała pieniędzy na pogrzeb, a wujaszek przysięgał się na wszystkie świętości, że odda — i nawet jakiś kwitek napisał.

Po pogrzebie ciotki mieszkaliśmy dalej u wuja; ja chodziłem, jak zwykle, do szkoły, a matka zajmowała się całym gospodarstwem, jak sługa. Wujaszek był dla nas dobry, tylko w warsztacie bywał coraz rzadziej, wieczorami późno do domu przychodził, i tak się w powszedni dzień zaczął porządnie ubierać, jak w święto.

Matka moja nie śmiała pytać o przyczynę zmiany, może jednak domyśliła się prawdy, bo czasem mówiła do mnie:

— Oj synku, zdaje mi się, że źle z nami będzie...

— Dlaczego, proszę mamy?—pytałem nieśmiało.

— Bo coś pan wujaszek stroi się ciągle.

Nie wiedziałem, co strój wujaszka może mieć za związek z naszym losem. Co do mnie, było mi zupełnie wszystko jedno, czy widzieć go zasmolonego w skórzanym fartuchu, czy też wystrojonego jak na odpust, w nowy tużurek i palto. Czy tak, czy tak, zawsze był dla mnie niemiły, gdyż zawsze patrzył, jak to mówią, z podelba.

Musiał jednak miarkować, że mama się czegoś domyśla, bo raz, przyszedszy wcześniej do domu, przy kolacji sam zaczął:

— Pani siostra pewnie się dziwi, że ja teraz prawie codzień czysto chodzę?

— Cóż się mam dziwić? — odpowiedziała matka — widać, że taka szwagrowi ochota przyszła.

— Ej, nie tak ochota, jak interes; chodzę już od jakiegoś czasu i staram się o robotę. Jeden pan ma tutaj dwa domy większe budować, chciałem podjąć

się całej ślusarskiej roboty... Zarobiłoby się grosz duży, i pani siostrze bym dług oddał, i dla mnie by się coś okroiło... ale — dodał, wzdychając — teraz czasy psie, a i szczęścia też nie mam. I tej roboty nie wiem czy dostanę. Pieniądzy też wiele nie mam; niewiadomo z czym będzie zaczynać.

Tego dnia cały wieczór siedział w domu i nudził mamę, żeby mu jeszcze trochę pożyczyła; ale mama przysięgała się na wszystkie świętości, że oddała już prawie wszystko, że zostawiła sobie tylko troszeczkę, na wypadek jakiego nieszczęścia, choroby...

Widząc, że nic nie poradzi, wujaszek przestał mówić, spoglądał tylko groźnie, to na matkę, to na mnie.

Na drugi dzień nic się prawie nie odzywał do nas i w domu mało co siedział, biegał tylko po mieście.

Nareszcie, pewnego wieczoru przyszedł do domu trochę cięty i, nie zdejmując nawet czapki z głowy, zawołał:

— Pani siostro! niechno sobie pani siostra poszuka gdzie mieszkania, bo

przecież nie sposób, żebyśmy tu siedzieli, jak żydy na kupie... a ja tu siedzę, i u mnie też niema za dużo, żebym dwie gęby żywił, djabli wiedzą na co i z jakiej racji?!...

Matka spojrziała zdziwiona i przestraszona.

— Jakto? — rzekła — więc ja tu darmo siedzę? więc za to, że tu jestem sługą, że gotuję, piorę, sprzątam, pilnuję domu i warsztatu, to już niewarta jestem tej łyżki stawy, którą tu dostaję?...

— Eh! co tam, moja pani, dużo gadać... ja nie jestem pan, sługi mi nie potrzeba, a wreszcie, jakby mi było potrzeba, tobym trzymał nie panią z paniczem, tylko sługę prawdziwą, coby znała mores i posłuch i nie wtrącała się do moich interesów! Co mi tam wszyscy djabli po takich paniach!!

— Szwagrze!... Przecież sam, po śmierci nieboszczki siostry, prosiłeś, żebyś tu została...

— Co mi tam pani ze swoją nieboszczką siostrunią wyjeżdżasz!... obieście jednakowe. Czy to ja z niej miałem? suchotnica, zawsze chora! ani z niej po-

mocy, ani co... Co mi tam taka żona! tylko koszt niepotrzebny...

— Nikt przecież do żenienia nie zmuszał.

— Nie zmuszał... a może i zmuszał?!.. ludzie namówili, więc jak gdyby zmusili. Zresztą co tam długo gadać... Szukać sobie mieszkania, tak jak powiedziałem, i już!... Za trzy dni żeby was tu nie było!

— Dobrze—rzekła matka spokojnie— pójdziemy stąd, już jutro nas tu nie będzie; tylko chciałabym prosić, żebyśmy się obliczyli i żeby mi pan oddał mój grosz wdowi.

— To znowuż jest co inszego, moja pani! — Djabli mi tam do tego, czy ten grosz wdowi, czy kawalerski; przed terminem nikt nie płaci, a tymczasem do terminu jeszcze daleko.

— Daleko?

— Ma się rozumieć, że daleko... Przecież masz pani na mnie rewersy. Nie pożyczalaś na uczciwe słowo, tylko kazałaś sobie pisać cyrograf, jak djabeł na grzeszną duszę, ale taki cyrograf to się czasem potrafi w kawałek węgla obrócić.

Matka nie odpowiadała nic, tylko płakała głośno, ja zaś wsunąłem się w kącik i gryzłem wargi ze złości! Ach! gdybym był silniejszy i większy, rzuciłbym się na tego człowieka i połamał w nim wszystkie kości. Czuję, że się robi ze mną coś dziwnego, ręce mi drżały — trząsałem się jak w febrze. Wuj tymczasem ciągle mówił ze złością:

— Oddaj mi pieniądze!?! Cóżto ja pani ukradłem pieniądze? zabrałem gwałtem, czy co? Sama się pani napraszałaś z niemi, żeby mieć darmo kąk, pożywienie. Dobrze było samej jeść i pić, i paść swego synalka, że aż sadło z niego kapie... a jak się już ta darmochoha kończy, to dawaj pieniądze!... a ja skąd mam brać pieniądze? kraść pójdę, czy rozbijać? Ja teraz i bez tego głupiego długu mam do starego licha wydatków; ja się żenię—słyszałaś pani, że ja się żenię!

— Wolna wola! - szepnęła moja biedna matka.

— Albo co? Wolna, ma się rozumieć, że wolna! Cóż to ja, nie człowiek, nie rzemieślnik? Żebym chciał, tobym Bóg wie jaką żonę dostał! bo mnie ludzie

znają, wiedzą, kto ja jestem i co potrafię... Mnie każdy kupiec, fabrykant, córkęby oddał z pocałowaniem ręki, bo ja... choć mi się pani o pieniądze przypominasz, to jabym cię, moja pani, dwadzieścia razy kupił z całym twoim majątkiem!

Matka ciągle milczała, zakryła twarz rękami i płakała cicho; ale ja, stojąc w kącie przerażony i zbladły, widziałem jej łzy, staczające się po jej szczupłych palcach.

Pan majster, — bo ktoby tam takiego łotra wujem nazywał, — wciąż chodził w czapce na głowie po obszernej izbie warsztatowej i dogadywał. Mało mu widać było, że nas z domu wypędzał, że nam ostatni grosz wydarł, jeszcze chciał się znęcać nad matką moją.

— Słuchajno pani — mówił — a wiesz z kim ja się żenię?

— To mi wszystko jedno przecie...

— Jedno, albo i nie jedno; bo może inna chciałaby was trzymać przy sobie, ale moja Jagusia, to gospodyni: ona złamanego grosza nie da nikomu, darmo-zjadów żywić nie zechce. To kobieta,

co się nazywa gospodyni: u ojca całym domem trzęsie, a zobaczno pani, jak ona wygląda, spójrz na nią. Samo zdrowie, krew z mlekiem, malina! nie taka suchotnica, jak nieboszczka twoja siostrunia.

— Daj pan pokój umarłym! czego chcesz od niej? przecież ustąpiła ze świata, i już ci więcej zawadzać nie będzie.

— At, co tu gadać! obieście jednakie, prawdziwe rodzone siostrunie; tamta była suchotnica, i pani jesteś suchotnica; tamta umarła, i panią też na Powązki wywiozą.

Już nie mogłem dłużej wytrzymać. Sam nie wiedząc, co robię, pochwyciłem młot ciężki i rzuciłem się na wuja.

— Ty zbójco! pierwszej umrzesz, niżli moja matka!—krzyknąłem.

Jednym uderzeniem ręki wytrącił mi młot z drobnej dłoni i pochwycił mnie za ucho.

— Ty szczeniaku! — rzekł — i ty już umiesz kąsać!

To mówiąc, pchnął mnie z całej siły. Na nieszczęście pchnął mnie w stronę warsztatu, tak, że uderzyłem głową

o twardy, stalowy szrubsztak i padłem bez zmysłów na ziemię...

Kiedy przyszedłem już do przytomności i otworzyłem oczy, nie mogłem zmiarkować, gdzie jestem. Z wielką trudnością zaledwie mogłem sobie przypomnieć, co się działo ze mną poprzednio. Niespokojnym wzrokiem oglądałem się dokoła, patrząc, czy niema gdzie kochanego wujaszka? Nie było go jednak; nie było ani jego, ani warsztatu; nie słychać było stuków młotków i zgrzytania pilników — przeciwnie, panowała zupełna cisza, tylko turkot jakiś dochodził moich uszu, niebardzo wyraźny, stłumiony. Zresztą była cisza grobowa — i izba sama, w której leżałem, podobniejsza była do murowanego grobu, aniżeli do ludzkiego mieszkania. Okno mieściło się wysoko, pod samym prawie sufitem, i dawało bardzo słabe światło; powietrze było wilgotne, przepełnione parą gorącą. Wśród tego zmroku dostrzegłem jednak moją matkę. Z zawiniętymi po łokcie rękawami, stała ona nad balją i prała; jakaś druga kobieta,

której nie znałem wcale, pomagała jej przy tym.

Dostrzegszy matkę, zawołałem cichym głosem:

— Mamo!

Przybiegła do mnie, zaczęła mnie serdacznie całować i rzewnie płakać.

— Ty żyjesz, Józiu?! żyjesz, moje dziecko! — mówiła — a ja myślałam, że się już nie podniesiesz z tego łóżka, że twego głosu nigdy nie usłyszę... o biedna, biedna moja dziecino! sierotko moja kochana!...

Pocałowałem ją w rękę i zapytałem nieśmiało:

— Mamo! u kogo my teraz jesteśmy?

— U nikogo, moje dziecko; jesteśmy u siebie, to nasze mieszkanie, mój Józiu.

— Więc wyprowadziliśmy się już od wuja?

— Zaraz, na drugi dzień, jak się to nieszczęście stało... Ach! zbójca! byłby cię zamordował! i tak niewiele już brakowało. Doktor nie robił żadnej nadziei. Ale, Bogu dzięki, odzyskałeś już przytomność, mówisz...

— Mnie już lepiej; dużo mi teraz lepiej, mamó; jabym nawet wstał, ale nie mam siły.

— Leż, leż, dziecko! — mówiła, — dopóki doktor nie powie, że już możesz wstać, leż Józiu.

Spojrzałem na matkę: była bardzo wynędzniała i blada, tylko duże jej oczy były szcząły, jak węgle rozżarzone.— Wyglądała tak biednie, że pomimo woli przypomniła mi zmarłą niedawno ciotkę—i wnet przyszyły mi na myśl wyrazy w pół-pijanego wuja: — „i tamta była suchotnica, i ty suchotnica, i ciebie niedługo na Powązki wywiozą...”

Przypomniałem sobie te słowa i złąkłem się bardzo.

Przed wieczorem przyszedł doktor, obejrzał ranę moją na głowie, zapisał lekarstwo i powiedział, że niezadługo będę mógł wstać. Mamę tylko ostrzegął i radził, żeby się szanowała, żeby nie mieszkała w takiej izbie wilgotnej, gdyż może sobie bardzo zaszkodzić.

Gdy odszedł, zapytałem matki: dlaczego my w takiej stancji mieszkamy, kiedy doktor mówi, że jest szkodliwa.

— Moje dziecko—odpowiedziała w pół z płaczem—podziękuj Bogu, że chociaż na odpłacenie takiej nory mogę praniem zarobić; my jesteśmy teraz biedni, bardzo biedni...

— Dlaczego? — zapytałem — przecież mama miała tyle pieniędzy...

— Tyle pieniędzy!... powiadasz... prawda, że nie była to wielka suma, ale dla nas to rzeczywiście było „tyle pieniędzy”, że moglibyśmy z nich żyć jako tako... no, ale, na nieszczęście, pożyczyłam te pieniądze wujaszкови...

— Może on jeszcze odda...

— Eh nie! już nie odda, niema co na to rachować, żeby kiedy oddał; szkaradny człowiek! niech mu Bóg naszej krzywdy nie pamięta... Od tego dnia, jak ciebie zranił, zaraz w tej chwili wyniosłam się z jego mieszkania; przenocowałam z tobą u sąsiadki, a nazajutrz, znalazszy to mieszkanie, kupiłam trochę gratów i przenieśliśmy się tutaj, do tej stacji... Dobrzy ludzie i sąsiadki namawiali mnie, żeby za twoją krzywdę pana szwagra do sądu ~~z~~skarżyć, ale nie chciałam. Na co? czy sąd powróciłby ci zdrowie?

czyby powrócił te łzy, które wyplakałam nad tobą?!... Nie skarżyłam więc... ale o pieniądze tom się musiała przypomnieć. Poszłam do niego z ciężkim bólem w sercu, nie jak po swoją należność, lecz jak żebraczka po jałmużnę; a musiałam pójść, bo na twój ratunek nie szczędziłam, i lada dzień mogłam się ujrzeć bez grosza. Przyjął mnie pan szwagier bardzo grzecznie, tak grzecznie, jak nigdy. Myślałam, że go raz przecież sumienie ruszyło... że boleje nad tym, że ciebie tak szkaradnie skaleczył... Co do pieniędzy—powiada—i owszem, ja pani choćby zaraz zapłacę, tylko niech mi pani moje rewery zwróci... — A ona, niby jego żona, odezwała się do niego:—tak, tak, dziś rodzonemu bratu wierzyć nie można; nie płacć mężu, póki rewersu nie odbierzesz, bo potym drugi raz będziesz musiał płacić... Ja powiadam: dobrze, zaraz pójdę do domu i przyniosę te papierki.—Owszem, owszem—odezwał się pan szwagier—niechno pani przyniesie; zaraz zrobimy rachunek. — Pobiegłam prędko do domu i zaczęłam szukać. Pamiętam doskonale, że schowała te kwit-

ki do kuferka, na sam spód. Tego kuferka, oprócz mnie, nikt nie otwierał; przeszukałam raz, drugi i trzeci — na próżno. Wyjmowałam po kolei rzecz każdą, przetrząsałam, patrzyłam; ale gdzie tam! przepadło, jak kamień w wodę!... Gdzie się podziały? kiedy zginęły? kto je wykradł?... Trzęsłam się jak w febrze, bo moje dziecko, to był nasz cały majątek!... To była twoja nauka, lekarstwo na wypadek choroby, jedyny sposób do życia...

Tu matka przerwała opowiadanie i zaczęła głośno płakać... ja leżałem na łóżku i czulem, że mi także łzy napływają do oczu... Biedna moja matka, taka dobra, taka poczciwa — i tyle cierpieć musi!...

— Poszłam do niego zapłakana, zmartwiona; prosiłam, żeby poszedł ze mną do policji — do sądu — gdzie tylko chce; że ja go w urzędzie pokwituję ze wszystkich pretensji; że nawet opuszczę mu coś... byle mi tylko oddał, byle nas tak okropnie nie krzywdził... I wiesz ty, co powiedział mi na to? — odpowiedział: — moja pani, ja jestem człowiek fachowy, pracujący, mam swój warsztat i swoje

kłopoty, po urzędach nie mam czasu się włóczyć, zresztą na co mi ten ambaras? Pani co innego: chcesz pani odbierać pieniądze, to się włócz po sądach, czasu przecież masz dosyć; ale, na mój rozum, to i sąd nie każe mi płacić, skoro niema dowodu, żem winien.—Zaczęłam płakać gorzko, przedstawiałam mu nasze położenie, ale na co się to zdało... Słuchać nie chciał; a potem wypchnął mnie za drzwi.—Idź, powiada, babo! idź, szukaj sobie sądu i sprawiedliwości! — Teraz zrozumiałam wszystko: zostaliśmy, moje dziecko, bez chleba, bez sposobu do życia... Niegodziwy człowiek!!

— I mama nie szukała tych kwitków?—spytałem przerażony.

— Gdzież ich miałam szukać? Tego wieczoru, kiedy cię niegodziwiec tak skaleczył, zabrałam cię do sąsiadki i nocowałam u niej, rzeczy nie zabierałam z sobą. Papiery pozostawiłam w skrzynce, gdzie zawsze leżały.

— Przecież się ta skrzynka na klucz zamyka.

— Dziecko jesteś! Cóż dla niego

znaczy zamek? przecież on każde zamknięcie potrafi otworzyć...

— To on więc?!...

— Tak, on, on, mój Józiu, okradł nas, wydarł nam całe mienie, cały nasz grosz sierocy!

Mówiąc to, matka objęła mnie za szyję, całowała i płakała tak gorzko, że słuchać było trudno.

— Widzisz, Józiu — mówiła — teraz żyjemy z ciężkiej pracy: ja bieliznę biorę do prania, ale siły już nie mam, z każdym dniem słabsza jestem, na nogach się chwieję...

Nie mogłem przez całą noc oka zmrużyć: myślałem ciągle o mojej biednej matce i postanowiłem, że jak tylko będę mógł już wstawać, to zaraz poszukam jakiego zarobku dla siebie. Szkoda mi będzie szkoły, ale opuścić ją muszę; za szkołę bo płacić trzeba, a ja powinienem robić coś takiego, za coby mnie jeszcze zapłacono. Modliłem się w cichości, aby Bóg pozwolił mi jak najprędzej wstać i wyjść o swoich siłach. Co będę robił? nie zastanawiałem się nad tym. Tylu

chłopców pracuje i zarabia na kawałek chleba — dlaczegożbym ja nie mógł? A gdyby mi trudno było wynaleźć inne zajęcie, to zrobię sobie dwa woreczki, pójdę nad Wisłę, nazbieram piasku i będę wołał po podwórkach: go! go! go! wiślanego! przecież i takim sposobem ludzie zarabiają...

Po tygodniu wstałem, ubrałem się i mogłem wyjść z domu.

Jedna myśl mnie zajmowała tylko: znaleźć zajęcie! zarobek! I nic dziwnego: biedna moja matka nie mogła tak ciężko pracować; widziałem, jak staje się coraz smutniejszą, coraz słabszą.

Wyszedłem na miasto, gapiłem się po ulicach, rozglądałem, namyślając się, kogo bym o robotę poprosił — i tak doszedłem aż do mostu. Wciąż miałem na myśli roznoszenie piasku, udałem się więc nad Wisłę, chcąc wypatrzeć, skąd chłopcy piasek biorą.

Kiedy tak rozglądałem się wkoło, przypatrując się berlinkom i statkowi parowemu, który świstał, jak kolej żelazna, uczułem, że ktoś uderzył mnie w ramię i zawołał:

— A ty raku! co tu robisz?

Obejrzałem się i spostrzegłem Jaśka, tego właśnie kocmołucha, który u mego wujaszka był w terminie.

— Co robię?—odrzekłem—nic, tak sobie, patrzę.

— To cię widać wypędzili ze szkoły, kiedy, zamiast siedzieć nad książką, łazisz tutaj...

— Nie, mój Jasiu, nie wypędzili, ale sam przestałem chodzić.

— Nie podobało ci się? masz rację!... to jest głupia robota!...

— Owszem, podobało mi się; ale... nie mam czym płacić...

— Nie masz czym płacić? to także masz rację, bo i ja także nie mam czym płacić. Takich porządnych ludzi, to, powiadam ci, pełny świat; i z tych niby to panów, co się rozbijają dryndami, połowa nie ma czym płacić!... Ale mnie to trochę dziwno. Ty miałaś przecie matkę, i ona nie była bez grosza, bo sam widziałem, jak mojemu staremu, niby majstrowi,—niech go drzwi ścisną!—pożyczyła.

Opowiedziałem Jaśkowi smutną naszą

historję, opowiedziałem ze wszystkiemi szczegółami i rozplakałem się przytym.

Jasiek słuchał uważnie, kiwnął kilka razy głową i rzekł:

— Ho, ho, mój kochany! jego to sprawka; ma się rozumieć, że on te kwitki zabrał, a że były zamknięte, to cóż to znaczy? Wam głupim to się zdaje, że zamek to mur; ja, choć nawet nie czeladnik, a ci każdy zamek, choćby angielski, lada goździem otworzę — tylko trzeba wiedzieć jak; a stary! ho! ho! jemu żelazna kasa fraszki! Przecież ja przy nim robiłem, to wiem... Co ja się zamków naotwierał! żebym choć tyle groszy miał w kieszeni..

— Jakto? więc ty kradniesz?!

— Głupi jesteś! co innego jest kraść, co innego zamki otwierać; pierwsze należy do fachu złodziejskiego, a ja przecież byłem terminatorem ślusarskim...

— Byłeś? ja myślałem, że jesteś jeszcze.

— Nie, teraz mam inną posadę ..

— Ty posadę?

— No, tak; jestem sobie konduktorem!!

— Konduktorem?! od kolei? czy może od tramwaju?

— Od świeżego powietrza, hulam sobie!... Stary chciał mnie bić, więc mu powiedziałem, że jest łajdak i uciekłem od niego, i tymczasowo jestem bez posady; ale to bajki, znajdę takich majstrów dosyć; robotę znam tak dobrze, jak czeladnik, a oprócz pożywienia i szturchańców, innej pensji nie biorę; ja nie zginę; idzie mi o ciebie. I cóż ty myślisz robić z sobą?

— Nie wiem; chciałbym, w najgorszym razie, piasek nosić...

Jasiek wybuchnął śmiechem.

— Ty!? do piasku? z temi wybielonymi rękami? jesteś ciekawy mebel!

— Dlaczego?

— To nie dla ciebie, nie dasz rady... trzeba czego innego poszukać... Ja ci coś znajdę, a wiesz dlaczego? dlatego, że cię lubię. Kupiłeś sobie moje serce za szóstaka. Pamiętasz, żeś mi dał szóstaka na bułki? Honorowy człowiek o takich interesach nie zapomina, a ja jestem człowiekiem honorowy... Słuchajno — rzekł po chwili namysłu — czyś

ty kiedy widział jakiego pana co ma zegarek?

— Widziałem...

— A czybyś potrafił wyciągnąć mu taki zegarek z kieszeni?

— O nie! nie! tego nie umiem i nie chcę!

— Wierzę ci, odrazu poznałem, żeś głupi; a do takiego interesu trzeba mieć rozum. Wiesz co, że i ja jestem na to głupi, i pytałem cię tylko tak, dla żartu. Uważasz, że jestem człowiek poczciwego serca, ale to do rzeczy nie należy. Przedewszystkiem trzeba myśleć o twojej posadzie. Przyjdź jutro w to samo miejsce i o tej samej godzinie, to ci coś powiem; bo przecie z rękawa posady nie wytrząchnę.

Podziękowałem Jaškowi—a nazajutrz stawilem się nad Wisłą.

Jaška jeszcze nie było; sądziłem, że może zapomniał i że już całkiem nie przyjdzie, lecz niebawem zjawił się, uśmiechnięty, wesoły, z papierosem w ustach.

— Jak się masz?—zawołał zdaleka—jesteś punktualny, jak zegar, za co nie

minie cię nagroda: będziesz od jutra redaktorem «Kurjera!»

— Redaktorem? ja!—zapytałem zdumiony.

— Ty, cóżeś tak oczy wytrzeszczył? myślisz, że to wielkie rzeczy?... bierze się sto Kurjerków pod pachę i roznosi od domu do domu. Potrafisz?

— Potrafię.

— A widzisz! za to będziesz brał grube pieniądze, a oprócz tego, jak będziesz regularnie nosił, to ci każdy z twoich państwa da co pierwszego na piwo. Powiadają ci, że to procentowy urząd! trochę szkodliwy na buty, ale dla oszczędności można chodzić boso. No! namyślaj się: chcesz, czy nie chcesz?...

— Chcę—odrzekłem.

— Masz psie szczęście! rodzicieś się widać w czepku, a może nawet w starym cylindrze... Widzisz, ja mam tam znajomego Antka, on już jest trzy lata takim redaktorem od noszenia Kurjerów; starszy, co jest nad wszystkimi chłopakami, bardzo go lubi, a jak który chłopak ucieknie, ~~a~~bo jak jakiego wypędzą, to Antek stara się sam o nowego. Wła-

śnie rozmawiałem z nim wczoraj i powiedział mi, że cię weźmie. Idźmy zaraz!...

Pocziwy Jasiek! Na drugi dzień już z paką Kurjerów przebiegałem ulice, wdrapywałem się na drugie i trzecie piętra. Trudno mi było z początku, okropnie trudno. Trzeba się było wypytywać stróżów, gdzie każdy lokator mieszka; ale po tygodniu już znałem wszystkie schody na wylot, po ciemku mogłem wszędzie trafić. Wprawilem się do tej roboty, boć do każdego zatrudnienia można się przyzwyczaić; a wolnym czasem, w święto, brałem się do swoich książek, które mi jeszcze jako pamiątka po szkole pozostały, i powtarzałem, co mnie nauczono.

Mama z początku gniewała się na mnie za to, że bez jej wiedzy i pozwolenia taki nieszczęśliwy wyszukał sobie zarobek; ale jak na pierwszego przyniosłem kilkanaście rubli do domu, przycisnęła mnie do piersi i ucałowała. Czułem wtenczas, że jej łzy gorące spadają mi na twarz. Zarobek mój bardzo się przydał mamie, bo z prania utrzymanie

było ciężkie, a ona biedna nie miała zdrowia. Nic a nic już zdrowia nie miała. Bywało, rankami skarży się na zimno, choć w stancji, że się ciągle ogień palił, było gorąco, jak w piekle; a wieczorami to ją znowuż wrzucało w gorączkę, że chciała oba okna otwierać i otwierała nieraz, chociaż z ulicy wiatr ciągnął ostry... Biedna, biedna matka! co ona nacierpiała, co namęczyła się na tym świecie! i za co? Za co?... Czy zrobiła ludziom co złego? czy skrzywdziła kogo?... Nieraz w nocy, gdy mnie jej kaszel przebudził, myślałem: dlaczego jednym ludziom drzwiami i oknami szczęście idzie, a drugim ciężko, jak z kamienia?... Ale któż mi na to odpowie?... Wszakże na wszelkie pytania, jakie kiedykolwiek zadawałem ludziom, słyszałem tylko jedną jedyną odpowiedź:

— Głupi jesteś!

Jakby namówili się z sobą — i tu, i w naszych stronach, wszyscy odpowiadali jednakowo, tak jednakowo, że aż się serce krajało.

Smutno na świecie, a jak dla mnie, to jedynym pocieszeniem, jedyną radością

w tym smutku, była moja matka. Ona miała zawsze dla mnie dobre słowo, ona była mi życzliwą opiekunką: to też kiedy jej na zdrowiu lepiej było, kiedy uśmiechnęła się czasem przy święcie, gdyśmy trochę za rogatki wyszli, to mi serce rosło z radości.

Chodziliśmy najczęściej ku Wilanowu, a gdy się matka zmęczyła, siadaliśmy oboje przy drodze na trawie, patrzyliśmy na żyto, na wąsate kłosa jęczmienia, które chwiały się i kłaniały ciągle... i przypominała nam się wówczas cicha wioska rodzinna, hen, hen daleko... nasz biały domek na folwarku, gdzieśmy z nieboszczykiem ojcem mieszkali, tłuusty konik, dwie krówki graniaste, a nawet pies kudłaty, z którym tarzałem się po dziedzińcu...

Przeszło wszystko, jak sen; grób ojca pewnie już się zapadł na cmentarzu; nasze ciche życie smutkiem zatrute; ostatni grosz zły człowiek zabrał.. i dlaczego? dlaczego? dlaczego?!

Upływał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, ja trzymałem się miejsca, a biedna moja matka coraz bardziej za-

padała na zdrowiu. Bywało, dzień, dwa leży, wstać nie może. W tym domu był stróż Michał, który miał żonę bardzo poczciwą kobietę. Ona-to odwiedzała matkę moją chorą, ona gotowała jeść i zapłaty żadnej nie chciała brać za to, taka była dobra.

Kiedy już Michałowa widziała, że z matką bardzo źle, sprowadziła zakonnice. Siostra miłosierdzia potrafiła jakoś wyperswadować matce, że jej najlepiej będzie w szpitalu, że tam znajdzie wygodę i lekarstwa. Usłuchała matka moja tej rady, i zawieźliśmy ją do Dzieciątka Jezus.

Nie mam serca opisywać, jak dalej było i co było; dość, że zostałem sam na świecie, sam jeden, sierota! nie miałem ani się przed kim poskarżyć, ani uzalić; nikt nie uśmiechnął się do mnie; nikt tak przychylnie, tak słodko, jak ona, nie spojrzał. Za trumną szedł tylko stróż Michał i ja; Michałowa pozostała w domu, bo musiała bramy pilnować...

Tego dnia było szaro, mokro, błoto na ulicach, deszcz padał przenikający, drobniutki: ulice były dość puste, bo na

taki czas ten tylko wychodził, kto musiał. Jednokonny karawan wiózł trumnę matki na cmentarz, a karawaniarz tak konia popędzał, żeśmy ledwie mogli zdążyć z Michałem za trumną... Pomyślałem sobie: jak to dobrze na świecie: jak bogaty umrze, to go wiozą krok za krokiem, powoli, jak gdyby mu chcieli przydłużyć ten pobyt na ziemi; z biedakiem zaś, z takim, który dużo przecierpiał, lecą jak na jarmark, aby prędzej zakopać w grobie, gdzie znajdzie nareszcie odpoczynek i wytchnienie... Znalazła go też i biedna moja matka, znalazła pod mogiłą, którą grabarze usypali naprędce.

Ja nie płakałem nic a nic, patrząc na to, tylko mię tak coś ścisnęło w gardle, tak mnie coś dusiło, że nie mogłem ani słowa wymówić, nawet pacierza na grobie. Stałem tylko, jak słup drewniany, i nie wiem jak długo byłbym tak stał na miejscu, ale Michał wziął mnie za rękę i powiedział:

— Chodź nieboraku! nieboszczki nie wskrzesisz; niech odpoczywa z Bogiem...
Poszedłem.

Weszliśmy do jakiejś bawarji pod cmentarzem, gdzie Michał kazał dać piwa. Chciwie pochwyliłem kufel, bo mnie coś w gardle paliło; myślałem, że się ochłodzę...

Michał pił dużo i gadał jeszcze więcej, a jakeśmy wracali do domu, to nie był bardzo pewny na nogach. Poczciwy człowiek przyrzekał mi, że mnie nie opuści w zmartwieniu, że u niego w stancji kąt dla siebie znajdę i łyżkę strawy... Nie kłamał: dawał mi kąt i pożywienie za niewielkie pieniądze, i zawsze mi powtarzał, że bieda biedę wspierać powinna.

W parę tygodni po pogrzebie matki była bardzo ładna pogoda i święto. Po ulicach roily się tłumy ludzi wesołych, wystrojonych, śmiejących się niewiadomo czego— śpieszyli oni na spacer, nad Wisłę, za miasto...

Poszedłem i ja Alejami, Solcem, nad brzeg Wisły... Poszedłem ot tak, bezmyślnie, za drugimi, bo nie miałem co robić i nie miałem się gdzie ze swoim smutkiem podzielić... Chodząc tak po nad brzegiem, zobaczyłem Jaśka. Sie-

dział na bulwarze, nogi spuścił nad wodę i ryby łapał na wędkę.

Zbliżyłem się do niego.

— Jaśku — rzekłem z cicha — jak się masz?...

— Cicho, cicho, — rzekł — nie przeszkadzaj!... widzisz, że łapię łososie, takie, co pół kopy na funt... ale — dodał po chwili — coś tak spasował? wyglądasz, jak śledź dwugroszowy, panie redaktorze!

— Zmartwienie mam — odrzekłem — matka mi umarła...

Janek przestał się śmiać.

— Umarła... — rzekł, kiwając głową, — umarła... ha... to i lepiej!...

— Lepiej? — spytałem zdziwiony.

— O ty raku, raku! — odpowiedział z dziwnym jakimś uśmiechem, — cóż to ty sobie myślisz, że śmierć to zły interes?...

Milczałem.

— Procentowy interes, bo tam pod ziemią zupełnie inny porządek... Komornego się nie płaci, ubrania nie drze, a i taki — dodał, wskazując ręką — nie okpi i nie skrzywdzi...

— Kto?

— Nie widzisz go, twego wujaszka, jaki wystrojony, z żoną i jakimiś facetami siada do łódki. Na Kępę sobie jada, na zabawę... Bodajeś się zabawił na samym dnie Wisły, szubieniczniku!... Nie żałuj matki, jej tam lepiej...

Mieszkałem ciągle u Michała i przyjaźniłem się z Jaśkiem, który na wielkiego pana wyszedł, bo nareszcie został czeladnikiem. Dobry to był chłopak, poduczył się nieźle czytać, pisać i rachować, miał lepszy przyrodziewek, wyglądał porządnie. Ja wciąż nosiłem Kurjerę. Czasem w święto chodziłem z Jaśkiem na Powązki; rozmawialiśmy wtedy o mojej matce; on mi zawsze mówił, że jej tam lepiej—i pewnie miał rację.

Przestałem też matki żałować, choć myślałem o niej ciągle, i zawsze co rok dawałem na mszę za jej duszę.

Jednego ranka przyszedł stójkowy i kazał mi iść do cyrkułu. Złakłem się bardzo, chociaż nie zrobiłem przecież nic złego... ale jak wołają trzeba iść — więc poszedłem. Tam zaprowadzili mnie do

jednego pana, co miał surdut z żółtymi guzikami i siedział przy stole, założonym mnóstwem papierów. Przychodzili tam różni panowie, panie, żydzi — dużo narodu, a ja stanąłem sobie na uboczu i czekałem.

Nareszcie ten pan zawołał:

— Kowalkiewicz Józef! jest?

— Jestem, proszę pana, — odrzekłem.

— Mój kochany, ty jesteś Niemiec...

— Ja Niemiec?

— Czegożes tak oczy wytrzeszczył? Już cić Niemiec; wiadomo przecież, że kto Niemiecki poddany, to Niemiec. Paszport twój wyszedł, więc albo się postaraj o prolongację, albo sobie jedź do swego kraju. Żebyś mi to w trzy dni załatwił! rozumiesz?

Nie rozumiałem ani słowa, ale odpowiedziałem, że rozumiem i wyszedłem. Rewirowy, który był przy tym obecny i jednocześnie wychodził z kancelarji, wytłómaczył mi dopiero, że pókim był mały, to byłem zapisany w paszporcie matki, a jak matka umarła, to mi dali paszport osobny, a że już wyszedł, więc trzeba nowego. Powiedział mi też, że

o taki paszport trzeba prosić jakiegoś niemieckiego konsula i wskazał, gdzie ten konsul mieszka.

Nie mogłem sobie tego wymiarkować, co to jest konsul i do tego niemiecki? myślałem, że jaka osoba; tymczasem, jakem tam przyszedł, przekonałem się, że to wcale nie osoba, lecz cyrkuł taki, jak nasz. Tak samo tam panowie siedzą i paszporty piszą, tylko, że gadają ciągle po niemiecku, że ich zrozumieć nie sposób.

Znalazł się jakiś pan, co się ze mną po ludzku rozmówił, ale paszportu dać nie chciał i kazał mi jechać napowrót tam, gdzie się urodziłem, do tej samej wsi. Nie mogłem zrozumieć, co mu to przeszkadza, że ja u Michała mieszkam i Kurjery roznoszę; ałem zdobyłem się na odwagę i powiedziałem, że nie mam żadnego interesu w tamte strony jechać.

Krzyknął na mnie:

— Jakto nie masz?! do wojska masz iść! czas na ciebie!...

Do wojska!... W jednej chwili przypomniał mi się mój biedny ojciec, — przypomniało mi się, jak znosili go

z woza z nogą obwiązaną w gałgany, jak mu potym urznąli nogę...

W twardej, smutnej doli, człowiek zapomina płakać; więc i ja też nie zapłakałem, tylko zapytałem spokojnie:

— Proszą pana, dlaczego ja mam iść do wojska?

Spojrzał na mnie, ramionami wzruszył i rzekł:

— Głupi jesteś, mój chłopcze.

.

Tyle jest «pamiętników roznosiciela». Jakie są dalsze losy ich autora, nie wiem. Może się znajdzie niezadługo w Afryce i zdobywać będzie nowe terytorja dla wielkiej niemieckiej ojczyzny.. Może padnie, ugodzony nożem murzyna, a może też zginie z pragnienia i gorączki pod ognistym pocałunkiem afrykańskiego słońca, może, konając gdzie daleko, wśród obczyzny, wróci zamglone oczy w niebo i stygnącemi ustami jeszcze zapytawać będzie: — dla czego? i za co? — Aie któż mu na to pytanie odpowie?!

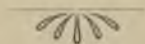


KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

Klemens Junosza

WILKI

(Z NOTATEK KOMORNIKA SĄDOWEGO)



WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1907

<http://rcin.org.pl>

5506
<http://rcin.org.pl>

Dziwnym się to komu wyda, żeby komornik, zwyczajny komornik sądowy, spisywał swoje pamiętniki! Co ciekawego w nich być może? Same tylko nakazy, zajęcia, licytacje, intromisje, a czasem, jakby dla rozmaitości, zabawka w «kota i myszkę» z nieszczęśliwym dłużnikiem, ofiarą prawa o przymusie osobistym.

Tak; napozór to prawda, ale w istocie nikt chyba nie napatrzy się na tyle dramatów, komedji i fars życia — ile komornik. Przesunęło się też przed moimi oczami wiele obrazów strasznych, obrazów żywej nędzy i nieszczęścia, rozpaczy, żalu, cichej rezygnacji, albo też przewrotności i szalbierstwa.

Czynność nasza, to rodzaj polowania bezkrwawego — na potulne sarenki lub zające, albo też na chytrego lisa,

pełnego wyrafinowanych przebiegów, podejść i wykrętów. Zdarzało mi się też trafiać na grubą i niebezpieczną zwierzynę. Pomnę dotychczas jednego «pacjenta» o herkulesowych kształtach i karku bawolim. Postać jego do dzisiaj tkwi w mojej pamięci. Sapał groźnie, jak dzik w legowisku i, kto wie, czyby nie rzucił się na mnie, jak ranny odyniec, ale, na moje, a naturalnie i na jego szczęście, obecność licznej służby powstrzymała go od tego kroku.

Tkwi również w mojej pamięci postać wesołego młodzieńca, w którego mieszkaniu, oprócz pogruchotanej sofki i blaszanego lichtarza wartości kilku kopiejek, literalnie nie było nic więcej.

Gdym wszedł ze świadkami i wierzycielem, młodzieniec ów skłonił mi się grzecznie i rzekł ze szczególną powagą.

— Panowie! wiem, pocoście przyszli. Nie sądźcie, że spotkacie tu opór... Nie! Szanuję prawo, czczę sądy i, z bezwzględną pokorą, poddaję się ich mądrym wyrokom. Panie komorniku, peł-

nij pan swą powinność! Wyłączeń żadnych nie robię, a nad zajętemi ruchomościami gotów jestem przyjąć nadzór, ma się rozumieć, za skromnym wynagrodzeniem... Szanuję prawo i proszę, niech bez względu na moje smutne położenie finansowe, bez względu na interesy familijne, na zamiar wstąpienia w związki małżeńskie—sprawiedliwość z całą surowością wykonana zostanie.

Był to obraz tak komiczny, że nie mogłem się oprzeć wesołości i wybuchnąłem śmiechem, asystujący zaś mojej czynności wierzyciel zawołał:

— Nu, patrz pan dobrodziej, jak un gada! jak un gada! żeby tak płacił, jak gada, toby miał największy kredyt w całym mieście...

Ale wracam do rzeczy—do mego pamiętnika.

Jest w nim kartek wiele, bardzo wiele, gdyż praktyka moja była rozległa, czynności miałem mnóstwo. W wolnych chwilach, w święto zwykle, lubiłem notować swoje wrażenia «Z podróży po kraju dłużników.»

Spisywałem je dla rozrywki, dla prze-

pędzenia czasu, bez pretensji do stawania w szeregach rycerzy pióra... Otóż jedną kartkę z tego pamiętnika wydzieram i rzucam ją przed oczy wasze. Chcecie, czytajcie—jeżeli zaś nie macie tego zamiaru, to drugie dobrze. W żadnym razie, z tego tytułu przymus osobisty wam nie zagraża.

.

Aczkolwiek naturalnym wydaje się mniemanie, że komornik nie posiada serca — ja jednak ośmielam się temu zaprzeczyć. A mam do tego zasadę, gdyż swego czasu byłem szalenie zakochany... Ideal, do którego wyrwała się moja dusza, posiadał prześliczne oczy barwy habru, buzię jak świeże jabłuszko i figurkę zgrabną, wiotką, niby trzcina... Słowem było to dziewczę fenomenalnie urocze, w moim przekonaniu przynajmniej...

Daremnie siliłbym się na opisanie jej wdzięków; czuję, że pióro komornika jest na to za sztywne, za urzędowe. Powiem więc krótko, że panna Aniela była oślepiająco piękna.

Staralem się o jej rękę, jak wielu z młodzieży; tańczyłem z nią przy każdej sposobności, znosiłem jej kwiaty, książki do czytania—ot, zwyczajnie, jak zakochany...

Niestety, moja miłość była jak kwiat bez woni, jak wyrok bez tymczasowej egzekucji... Nie zdołałem pozyskać wzajemności...

Ojciec był za mną, matka za mną, ale sama panna nie chciała mi sprzyjać. Odmowę jej przyjąłem z rezygnacją... Cóż robić?... serce nie sługa, rozkazów nie słucha, a powtórę, nie mogłem się mierzyć nawet z moim szczęśliwym rywalem. Ja, blade dziecię miasta, o pospolitych rysach twarzy — on, kwitnący zdrowiem wieśniak, przystojny w całym znaczeniu tego wyrazu; ja, zwyczajny komornik, mól, meblojad, on dzierżawca folwarku, mający wolancik i parę spastłych, okazałych de-reszów...

Anielcia poszła za niego... Nie dziwię się temu, ja sam byłbym za niego poszedł, naturalnie, gdybym był panną.

Byłem na ślubie i, ukryty za filarem,

w najciemniejszym kąciuku kościoła, wyplakałem się serdecznie. Nie śmieście się—komornicy także płaczą niekiedy...

Nazajutrz młoda para odjechała do Wierzbówki, a ja pozostałem w mieście; robiłem w dalszym ciągu zajęcia, sprzedawałem stare graty, ścigałem dłużników.

Upłynęło sześć czy siedm lat.

Obraz uroczej Anielci nie zatarł się w mym sercu, chociaż barwy jego pobladły pod wpływem czasu. Rana w mym sercu zabliźniła się już trochę, a zresztą i poglądy moje na sprawy romansowej natury uległy znacznej zmianie.

Czy wogóle serce, przy niewesołych czynnościach mego zawodu, stępiejało, czy co, dość, że straciłem chęć do poznania piękniejszych stron życia i nie uganiałem się więcej za oczami habrowemi. Nawet kumoszki i ciotki, które pragnęły gwałtem okuć mnie w złote więzy hymenu, spotkały z mej strony energiczny opór. Nie pomogła wymowa kilkunastu znakomicie wprawnych języczków i, głuchy na wszystko, pozostałem kawalerem do dzisiejszego dnia

i, jak się zdaje, pozostanę nim do końca mego, daj Boże, najdłuższego żywota.

Pewnego dnia, rankiem, gdy siedziałem w mojej kancelarji i przeglądałem papiery, wszedł stały mój klient, pan Abraham Fajn, okazałej tuszy mężczyzna i, obcierając spocone czoło czerwona chustką, rzekł:

— Panie kimorniku, trzeba nam zaraz jechać, zrobić zajęcie.

— Na wsi? — zapytałem.

— Trochę na wsi. Mam prawomocnego wyroku na Sakowicza, dzierżawcę z Wierzbówki; winien całkiem głupie 500 rubli i nie chce płacić, niech jemu djabli wezmą.

— Kiedyż mamy jechać?

— Jakto kiedy? dziś na noc, stanemy tam przed świtem. Trzeba śpieszyć, bo un schowa gdzie swoje pare konie i wolant, które dla mnie akurat pasują. Ja już nie mogę trząść moje zdrowie na zwyczajne bryczkę, mnie doktor powiedział, żeby ja sobie koniecznie resorów sprawił. Un powiedział, co bez resorów, mogę sobie, broń Boże, zrobić feler na wątrobę. Niech moje

wrogi mają taką słabość!!! Niech lepiej im się feler zrobi. Aj... aj... panie kimorniku, ja panu co powiem, że taki feler, broń Boże, to jest bardzo głupi interes.

Uporządkowałem papiery i, tegoż dnia, na noc, puściłem się w drogę.

Samego Sakowicza nie było w domu.

Zrobiłem zajęcie, oddałem ów wolant konie i uprząż pod dozór i, już miałem odjeżdżać, gdy wyszła do mnie pani domu, mój niegdyś ideał, modrooka Anielcia.

Utyła trochę, zmieniła się, ale jeszcze była piękna.

Na jej widok serce moje uderzyło żywiej, rumieniec na twarzy wystąpił. A gdy spojrzała na mnie zażawionymi oczami, gdy szepnęła «panie Józefie, nie gub nas pan», to uczułem, że nogi chwieją się podemną, żem gotów największe głupstwo zrobić. — Człowiek zawsze ma słabość do wspomnień.

— Wybacz pani—rzekłem, ale smutna powinność...

— A tak—odrzekła,—ja do pana nie

mogę mieć żalu, nie mogę nawet mieć żalu do pana Fajna, tu nikt nie winien, tylko mój Jaś... mój mąż. Lekkomysłny jest trochę, grosza nie szanuje.

Nie dokończyła, bo płacz przerwał jej mowę, próbowałem pocieszać, Abram także perswadował jej po swojemu.

— Za pozwoleniem, czego pani płacze? Te dwa kobułe, co pan kimornik zajął, to więcej owsa zjedzą, niż une same warte, a wolant? Co to jest wolant?! wielgie mecyje!... ja pani nastęcę drugi, jeszcze lepszy. Ot dalibóg niema sobie co martwić, w handlu, to różnie się przytrafuje, niech sam pan kimornik poświadczy.

— Pan tego nie zrobisz, panie Józefie, pan nas nie zniszczysz... — szepotała łkając—pięcioro dzieci, Jaś lekkomysłny...

W tej chwili przeklinałem i urząd mój i serce; wolałbym był zapaść się pod ziemię, aniżeli widzieć te łzy... ale trudno... służba...

Odjechałem.

Swoją drogą, starałem się na wszyst-

kie strony o pieniądze. Dawny przyjaciel i kolega szkolny obiecał przywieźć mi je osobiście za parę tygodni.

Niestety, nie stawił się na termin. Dzień licytacji był już oznaczony, czego przerobić nie mogłem. Żyd był twardy, gotów zaskarżyć do prezesa, mogłem posadę stracić, jak nic...

— Ha, dziej się wola Boża!—pomyślałem.

Wyjechaliśmy z miasta z Abramem, popołudniu, na wielkiej bryce, zaprzęgniętej w jakieś wychudzone wywłoki.

— Niech pan kimornik sobie nie lęka, rzekł Abram,—z powrotem to my pojedziemy z wolantem. Sakowicza pachciarz jego dla mnie kupi. Obiecałem mu za to trzy procent. Un też potrzebuje żyć, un biedny żydek jest. I moje wątrobe nie będzie miało feler. Na co jej feler? ja też potrzebuje żyć... ja przeszłego roku wozilem ją do ciepłe wode, mnie pięćset dwadzieścia trzy ruble kosztowało... Powiedz pan, panie kimorniku, czy kto ma takie kosztowne wątrobe, z przeproszeniem?

— Tak, tak—odrzekłem—to kapitał, panie Fajn, szkoda tylko, że nie można od niego kuponów odcinać.

— Jakto, komponów?... Fe! nie mów pan takie słowo! Jakto można odciąć kompon od wątroby? Pfe, pfe — mówił sapiąc, gdyż przy pełnej tuszy, prędkie mówienie sprawiało mu duszność.

Był już wieczór, gdy przybyliśmy nad brzeg Wieprza, gdzie była przeprawa promem, ale tu spotkała nas nieprzewidziana przeszkoda; prom zepsuł się, przejechać nie sposób, do najbliższego mostu sześć mil z okładem, a tu licytacja naznaczona na jutro.

Ja byłem bardzo kontent z takiego obrotu rzeczy,—sądziłem, że uda mi się zwłokę uzyskać — ale Fajn nie dał za wygraną.

Najął łódkę i przedostaliśmy się na drugą stronę rzeki, w nadziei, że wynajmiemy konie w poblizkiej wiosce i dostaniemy się do Wierzbówki. Konie Fajna zostały na brzegu, pod opieką Judki, dzierżawcy przewozu.

Wysiedliśmy na ląd, przewoźnik odpłynął — a my udaliśmy się pieszo do

Kalinowa, gdzie można było wynająć konie u chłopów.

Droga wypadła nam przez duży i gęsty las. Fajn, sapiąc, szedł z trudnością i niósł moją tekę z papierami— ja zaś dzwigałem strzelbę, bez której nigdy się w drogę nie puszczam. Od dzieciństwa mam słabość do myśliwstwa.

Uszliśmy może wiorstę drogi, gdy noc zapadła, prześliczna letnia noc — pogodna. Niebo usiane gwiazdami, w lesie cisza, zapach, gałązki łagodnie szemrały.

— Oj, panie kimorniku! — rzekł zaspany Fajn, — panie kimorniku, czekaj pan, jedno słowo...

— Co pan chcesz? — spytałem niechętnie.

— Panie kimorniku, powiedz pan, czy od wielgie chodzenie może sze zrobić feler na wątrobe?

— Nie chcę pana straszyć...

— Jakto nastraszyć? czym pan mnie może straszyć?

— Tak, ale widzisz pan, znałem jedną kupcową, bardzo wspaniałą damę, dobrej tuszy i... z felerem. Otóż poszła

ona raz za miasto, na spacer, dość nawet daleko; zaskoczyła ją burza, więc biegła prędko do domu, zadyszała się... zmęczyła.

— Nu, i co z tego było?

— I nieszczęście stało się... umarła. Fajn usiadł.

— Panie kimorniku — rzekł prawie z płaczem — panie kimorniku, pan potrzebujesz trochę sobie odpocząć.

— Ja nie — owszem, ja nawet lubię ruch.

— Daj pan spokój — na co taki ruch? Tamta kupcowa...

— Eh! głupstwo... panie Fajn, prędzej czy później to mała różnica, przecież każdy musi umierać...

— Nie powiedz pan to! panie kimorku, ja pana proszę, siadź pan sobie. Bogu dzięki, ziemia duża, nie potrzebujesz pan kimorne płacić.

— Nie zdążymy, — szepnąłem.

— Nie bój się pan, może jaka fura nadjedzie, zabierze nas.

Usiadłem.

Przez chwilę milczeliśmy. Fajn położył się na wznak, oczy utkwiał w niebo

i patrzył, ja siedziałem oparty o pień drzewa.

Świeże, balsamiczne powietrze, urok nocy letniej, zaczęły żyda rozmarzać.

— Wiesz pan co, panie kimorniku— rzekł,—tu dobrze jest, tu bardzo dobrze jest...

— Zapewne—rzekłem,—choć niezupełnie. Co do mnie, wolałbym leżeć teraz w łóżku wygodnie, jak człowiek, aniżeli tułać się po lesie, gdzie Bóg wie, co może człowieka spotkać?

Fajn podniósł głowę.

— Jakto? co może w lesie człowieka spotkać? na co ma go spotkać?

— Albo ja wiem? dość, że jesteśmy w lesie— rzekłem, biorąc broń do ręki i oglądając się uważnie.

— Myślisz pan co rozbójnik, broń Boże?...

— E, nie! w naszych stronach nie praktykuje się to często, ale wilk...

— Co wilk? po co tu ma przyjść wilk? na co un tu jest potrzebny?

— Czy ja wiem, na co? Przed dwoma tygodniami w tym samym lesie wilki zjadły chłopca...

— Uni mu zjedli? to nie może być!

— Tak zjadły, że tylko buty i czapka została.

Fajn zerwał się na równe nogi.

— Panie kimorniku!— rzekł — chodźmy; co mamy tu siedzieć? od ziemi to wilgoć jest, może broń Boże zaszkodzić... Mnie jeden doktor mówił, co od ziemi jest najgorszy wilgoć!... frybrowy wilgoć!

— Mielśmy przecie trochę odpocząć.

— Co odpocząć? po co? Czy to my, nie przymierzając chłopcy, co sobie młóć i potym muszą leżeć jak biki? Nawet na take osobe jak pan kimornik, to nie pasuje leżyć na trawie... to po chłopsku jest.. Chodźmy, ja pana bardzo proszę...

— Jeżeli pan chcesz koniecznie, to trudno,— chodźmy— ale miej się pan na ostrożności: teraz jest noc, z każdego krzaka może co złego wyskoczyć...

— Aj waj! panie kimorniku, powiedz pan, czy od wielkiego strachu może być broń Boże, feler na wątrobe?

— Nawet ogromny. Dlaczego się pan o to pytasz?

— Co ja się mam pytać? tak sobie... Pan miszli, co ja sobie boję?... ja nawet mogę krzyknąć — słuchaj pan, jak ja odważnie krzyczę: — hu! ha!

— Pst! co pan u diabła wyrabiasz!?...

— Jakto co?... ja sobie hukam.

— Nie wywołuj pan wilka z lasu...

Fajn umilkł i po chwili zapytał:

— Przepraszam, panie kimorniku, czy pan widziałeś kiedy wilk?

— Aj, aj, wiele razy.

— I z jakim sposobem un pana ani razu nie zjadł?

— To jest... widzisz pan, znowuż nie chciałbym pana martwić.

— Dlaczego? co to jest martwić? Czy taki gałgan wilk, jest moja ciotka, że bym ja sobie o niego martwił? Ja się tylko pytam, dlaczego un pana kimornika nie zjadł?

— Jak pan widzisz, nie jestem otyły, nawet bardzo szczupły jestem... same kości i skóra.

— Pfe! cóż to?... un tak lubi tłuste mięso, ten rozbójnik?!

— On jest taki mądry, że jak wpadnie w stado owiec, to zawsze najtłu-

ściejszą chwyta. Zapytaj się pan chłopów, oni dobrze się na tym znają...

— Panie kimorniku, ja sobie siądę!...

— Kto z panem dojdzie do ładu?—dopiero siadamy, znów idziemy i znów siadamy... trzeba się zdecydować albo tak, albo tak...

— Mój panie kimorniku, mój złoty, panie kimorniku!—ja sobie trochę siądę... Pan wiesz, że ja mam, za pozwoleniem, feler i inną słaboszcz też mam, co jeszcze gorsze niż feler. Bardzo brzydka słabość. Miej pan miłosierność... siądźmy trochę...

— Ha, cóż mam robić? siadajmy.

— Ale trzymaj pan swoje strzelbę w garści... ja pana proszę, trzymaj pan mocno!

— Po co?

— Od wszelkiego wypadku... Powiedz pan, panie kimorniku, czy taki wilk idzie sam, czy, broń Boże, w kupe?

— Zwykle chodzi całym kahałem.

— Wiele ich może być w takie kompanije?

— Rozmaicie, czasem sześciu, dziesięciu, dwudziestu...

— A pański strzelba wiele może strzelić?

— Dwa razy.

— A co będzie z te ośmnaście?

— Nic nie będzie; zanim broń nabiję...

— Panie kimorniku, ja pana proszę, my wstańmy, my chodźmy... co my tu wysiedzimy?... Czy to człowiek jest za pozwoleniem, kogut, żeby siedział jak kura na jajki?...

— Dalibóg nie wiem, jak panu dogodzić?—to siadamy, to idziemy—do czego to podobne! Przyznam się, że mnie to już nudzi. Ja jestem komornik, moja rzecz zrobić zajęcie, sprzedać—a pan każesz mi to siadać, to iść, trzymasz mnie pan całą noc w lesie, jak dzikie zwierzę. Ja nie potrzebuję takich interesów!... Dawaj pan torbę z papierami—ja powracam do domu. Dla pańskiej satysfakcji, nie będę się włóczył po lesie jak cygan. Bądź pan zdrów. Mam zdrowe nogi, nie cierpię na żaden feler, trafię gdzie do wsi, najmę sobie konie i pojedę do domu.

— A ja?! — wrzasnął rozpaczliwie Fajn—a ja co mam robić?!

— Albo ja wiem? nocuj pan sobie w lesie, cóż mi do tego.

Żyd rozpaczliwie uczeplił się mego rękawa.

— Panie kimorniku, panie kimorniku! nie zostaw mnie pan! Co pan chcesz? ja panu dam... ja panu dam dwadzieścia pięć... dwadzieścia siedm... trzydzieści rubli—gotówką! nie opuść mnie pan, nie zostaw samego w takie paskudne miejsce...

— Cóż ja panu poradzę? Masz pan taki ogromny brzuch!

— Aj, niech moje wrogi dostaną ten brzuch! to głupstwo jest... to właśnie feler jest...

Z poblizkiej wioski ozwało się wycie psów. Po lesie rozległo się ono echem przeciągłym, smutnym, płaczliwym.

Fajna dreszcz wstrząsała.

— Panie kimorniku, co to jest?—zapytał.

— Panie Fajn—rzekłem uroczyście, — czy pan wierzysz w Boga?

— Co nie mam wierzyć?!... czy ja pies, żebym w Boga nie wierzył...

— Więc módl się!—krzyknąłem prze-
rażliwym głosem.

— Co? co? wus y dues?... Rabejnu
szel ejłom!! —co pan kimornik mówi?!

— Daj pan pokój tytułom; w tej chwili
ja nie jestem komornik, pan nie jesteś
Fajn...

— Nu — co ja jestem?... co pan je-
steś?...

— Ja jestem mięso i pan jesteś mię-
so... a tam wilki wyją i ostrzą sobie
zęby...

— Giewałt! — wrzasnął nieludzkim
głosem Fajn — giewałt!... ratuj pan!...
dam trzydzieści pięć, trzydzieści siedm,
dam pięćdziesiąt rubli! ratuj, panie ki-
morniku!—ja człowiek i pan człowiek...
ja polak i pan polak. Poco mają zgi-
nać dwa polaki?... ratuj pan! ¶

— A licytacja?—zapytałem. ¶

— Niech una idzie w ziemię, z wo-
lantem, z te dwa kobułe i z zaprzęga-
mi!... ratuj pan!

— Zmykajmy więc! — krzyknąłem i
rzuciłem się w las, w stronę przeciwną
tej, którąśmy iść mieli.

Fajn biegł za mną jak szalony.

Nie sapał, lecz ryczał, jak wół, który wyrwał się ze szlachtuza. Przerazenie dodawało mu sił.

Biegliśmy tak może wiorstę, dwie, i mnie już dech zapierało w piersiach, i ja z gustem położyłbym się pod drzewem, na miękkim mchu, aby przespać się kilka godzin, ale zapłakana twarz Anielci stawała przed memi oczami taka smutna, taka prosząca, że mi się serce krajało...

Żyd padał już ze znużenia, potrzebowałem dodać mu energji, — jeszcze z wiorstę, z półtorej, w głąb lasu, a w takim razie, żeby pękł, na licytację nie zdąży; mój przyjaciel przywiezie pieniądze, termin spadnie, a ja nie będę potrzebował licytować Anielci...

Stałem.

Zdjąłem strzelbę z ramienia, wycelowałem w najbliższą sosnę.

— Aj waj! — wrzasnął Fajn, — co pan robi?

— Wilk!... — szepnąłem tajemniczo.

Rozległ się wystrzał jeden, potem drugi.

— W nogi! — wrzasnąłem, aż się echo rozległo.

Fajn dobył ostatku sił. Trzeba przyznać, że pod wpływem strachu biegł jak zając, zapomniał o wielkim brzuchu, o felerze swoim, biegł jak szalony, dopóki nie padł ze zmęczenia.

Bohater mój legł nad brzegiem strumyka, pod krzakiem leszczyny, oddychał ciężko, twarz miał podrapaną, skutkiem przedzierania się przez splątane gałązki i krzaki.

Żal mi się żyda zrobiło.

— Panie Fajn — rzekłem — już tu jesteście bezpieczni... Zabiłem dwoma strzałami trzy wilki, pięć uciekło przed nami, a przed resztą myśmy uciekli... teraz leż pan spokojnie i próbuj odpocząć...

— Aj, aj, panie kimorniku, pan ratowałeś moje życie, ja będę wdzięczny, ja się potrafię znać na rzeczy, ja... ja dam panu, co pan zechce, ja panu robotę nastęcę... Oj!... żebyś pan wiedział, jak mnie kole serca pika!

— Uspokójże się pan.

— Jak pan myśli, panie kimorniku?... ja teraz pewnie będę miał całe dwa felery w wątrobie?...

— Nie,—czasem od takiego zmęczenia wątroba się kurczy i feler całkiem ginie.

— Ale ze strachu, to może, nie w złe godzinie powiedzieć, żółć pęknąć?...

— Nie lękaj się pan—i żółci nic nie będzie, ja mam tu lekarstwo...

— Lekarstwo? Aj waj! aby dobre... ja jego zaraz kupię—ja gotówką płacę...

— Dam panu darmo — rzekłem, do-
bywając z kieszeni flaszkę podróżną
płaską. Była w niej sławna dzięglów-
ka, roboty jednej z moich ciotek, zna-
komitej gospodyni.

Napiłem się sam trochę, a resztę od-
dałem Fajnowi.

— Pij pan—rzekłem,—pij do dna, na
feler, na przestkach, nie masz nad to
lepszego lekarstwa!

Żyd przylgnął do flaszki jak pijaw-
ka, łykał gorączkowo, chciwie—i wnet
zaczerwieniły mu się policzki, oczy na-
brały dziwnego blasku, ciepło rozeszło
się mu po żyłach. Upił się.

— Panie kimorniku—rzekł—jak pan
myśli, czy taki feler to może się wy-
trzęść? bo ja sobie bardzo wytrzęsnilem.

— Kto wie? może.

— Aj, żeby to była prawda, to ja-
bym nie potrzebował wolant na reso-
ry — jabym Sakowiczowi prolongował,
rozłożył na raty. Ja mam taką natu-
rę, że nie lubię komu przykrość zrobić.

— Próbuje pan spać — odrzekłem.

Nie trzeba było długo namawiać.

Żyd rozmarzony wódką usnął, ja zmę-
czony wyciągnąłem się z rozkoszą na
świeżej murawie.

Kiedyśmy się przebudzili, była już
blisko dziesiąta rano.

Błądziliśmy jeszcze kilka godzin po
lesie, a przybywszy do najbliższej wios-
ki, nie mogliśmy dostać koni, gdyż
wszyscy chłopci pojechali na odpust.

Licytacja spelzła na niczym. Anielcia
została ocaloną.

Przyjaciół mój przywiózł pieniądze,
które oddał Fajnowi. Po żniwach, Sa-
kowicz zwrócił mi je z serdecznym po-
dziękowaniem.

Bywałem częstym gościem w Wierz-
bówce, trzymałem Anielci szóste dziec-
ko do chrztu, a w upominku dałem mo-
jej chrześniaczce wyrok prawomocny,

na rs. 300, które znów za jej tatusia ze swej kieszeni zapłaciłem.

.

Po kilku tygodniach, po przygodzie z wilkami, przyszedł do mnie Fajn z nową czynnością.

— Jakże zdrowie, kochany panie Fajn? — zapytałem.

— Bogu dzięki — odrzekł, — dziękuję.

— Może znów wyprawimy się na wilki?

— Nie powiedz pan brzydkie słowo! — rzekł złośliwie, — już ja się dowiedziałem całą prawdę, co te wilki nieśli dla Sakowicza pięćset rubli — a ja, z moim felerem, zostałem przez resorów; pfe! panie kimorniku, trzeba szanować cudzy słabość, z pańskiej łaski to mnie moje wątroby będzie kosztowało drugie pięćset rubli!



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
.00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

F

5505

5506